

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ
LUCYANA RYDLA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 5 WRZEŚNIA 1915

NR. 6.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



Patrol ufanów.

Fot. z nat.

STANISŁAW STWORA: ZYGMUNT — DZWON.

ZNAKOMITEMU ARTYŚCIE JÓZEFOWI WĘGRZYNOWI.

A OTO JESTEM I ŻYWIĘ PO — WIEKI
KOŚĆ KOŚCI WASZEJ I KREW WASZEJ KRWI,
ZJAWA SŁONECZNA, SEN ZEOTY DALEKI
O ZMARTWYCHWSTANIU W NIEZLICZONE DNI —
JA MOC NARODU, ŚWIETNOŚĆ, WASZ TRYUMF I ZGON
ZWIASTUN, WRÓŻ DOBRY... ZYGMUNT-DZWON!

KRZYŻE, KONANIA, MĘKI PŁACZ I ZGRZYT...
— NA CZYJŻE SZCZESNY DZIEŃ
UDERZYĆ MAM? NA CZYJŻE ŚWIT?
NA SERCE PADŁ MI CIEN
NA SERCE, CO SIĘ TRUZI,
I CZYNEM JEST I CZYNY BUDZI!

KREW! TYLE KRWI! CZYJAŻ SIĘ LEJE KREW?!
...ROZDZWONIE SERCE KIEDYS W RANO
OBUDZĘ DUCH! — RYCERSKI SPIEW
I... ZMARTWYCHWSTANA —
Z POPIOŁÓW WSTANA ŻYWI
Z WENEDÓW STOSU — ZEMSTY CHCIWI!!

ZAPRAWDE MÓWIĘ WAM... POZNACIE MNIE, MÓJ GŁOS,
SERCE PEKNIETE.., UDERZE NIE NA ZGON,
NIE NA MECZEŃSKI KRZYŻ, NIE NA MECZEŃSKI LOS —
JA MOC NARODU, SŁAWA, ZYGMUNT DZWON!
ALE UDERZE W KREW TE... W WASZĄ DZIELNOŚĆ,
Z KTÓREJ PIORUNEM WSKRZESZE — NIEŚMIERTELNOŚĆ!

KRAKÓW, W STYCZNIU 1915 R.

BRZEŚĆ LITEWSKI I KOWNO.

Od początku wojny słyszało się zawsze o Brześciu Litewskim, jako twierdzy najwarowniejszej, omal nie do zdobycia. Przecie nie oparł się ów słynny Brześć i padł nadspodziewanie rychło.

Pierwotnie zwala się ta miejscowość Brzeście, a dla odróżnienia od swej imiennicy na Kujawach — Brzeście Litewskie. Zdaje się, że był to jeden z owych grodów Czerwieńskich, które sobie nawzajem długo wydzielali Polacy i Rusini: Jarosław Kijowski i nasz Bolesław Śmiały, po nim Kazimierz Sprawiedliwy, a w XIII w. X. Włodzimierz zwany Filozofem, synowiec Daniela Halickiego, władną tu kolejno. W w. XIV książęta litewscy zagarniają Brześć: w r. 1319 zimuje tu Giedymin w pochodzie na Kijów, siedzą tu potem Kiejstut, Witold i Jagiello, który miastu nadaje prawo magdeburskie w r. 1390. Za Kazimierza Jagiellończyka Brześć Litewski bywa niejednokrotnie miejscem zjazdów Korony i W. X. Litewskiego.

Spustoszony i spalony przez Tatarów w r. 1500, podnosi się Brześć z popiołów dzięki przywilejom Zygmunta I i Zygmunta Augusta, do największego jednak rozkwitu dochodzi za Mikołaja Radziwiłła Czarnego, który jest brzeskim starostą. Jako głowa polskich innowierców, Radziwiłł Czarny wznosi tu słynny zbor reformowany, zakłada drukarnię z której wychodzi w r. 1563 kalwińska Biblia Brzeska, zwana także Radziwiłłowską. Za czasów Batorego i Zygmunta III dokonywa się w Rzeczypospolitej zwolna zwrot religijny: reformacja cofa się i wygasa, katolicyzm bierze górę. Gdy za czasów Zygmunta Augusta większość mają w senacie innowiercy, to za Zygmunta III jest już stosunek wręcz odwrotny. Rodzony syn Radziwiłła Czarnego, X. Mikołaj Radziwiłł Sierotka, jest już gorliwym katolikiem i odbywa głośną pielgrzymkę do Ziemi Świę-

tej, a całym wpływem swoim stara się wykorzenić kalwinizm tak żarliwie przez ojca popierany.

Warto przy sposobności przypomnieć nawiasem, skąd Radziwiłłowi temu dostał się dziwny przydomek



X. Mikołaj Radziwiłł Czarny.

Drzewor. współcz. Muz. Czapskich.

Sierotki. Niemowlęciem był jeszcze, gdy Zygmunt August zjechał w odwiedziny do jego rodziców. Zajęta dostojnym gościem służba cała zapomniała o dziecku, które zanosilo się od placzu. Król przypadkowo znalazłszy się w komnacie, wziął dziecko na ręce i koil je powtarzając z uśmiechem: „Sierotka — biedny sierotka!”

Otóż ów Radziwiłł na łono kościoła nawrócony, darował kalwińską drukarnię w Brześciu Jezuitom Wileńskim, którzy tutaj osiedli w kolegium, hojnie wyposażonem przez Sapiechów. Za Zygmunta III przybyły i katolicki charakter Brześcia podtrzymywały dalsze klasztory: Bernardyni i Trynitarze.

Najważniejszym momentem dziejowym w historii Brześcia Litewskiego jest dokonana tu głośna Unia Brzeska między kościołem Rzymskim a Greckim, obowiązująca odtąd w Rzeczypospolitej. Była ona owocem trzech synodów duchowieństwa polskiego i rusińskiego w latach 1590, 1594 i 1596. Odtąd datuje religia katolicka obrządku greckiego, którą z taką zaciekleścią starała się Rosya po rozbiorach wytepić w dawnych ziemiach Rzeczypospolitej. Dla umocnienia Unii Kościołów metropolita Rutski założył w r. 1629 klasztor

Bazylianów w Brześciu, którzy mieli stać na straży jedności kościelnej Wschodu i Zachodu.

Podczas wojen szwedzkich Brześć padł ofiarą najazdu Rakoczego, X. Siedmiogrodzkiego i wojsk Karola Gustawa, które miasto spłądowały doszczętnie. Ponownie za Augusta III zajęli Brześć Szwedzi Karola XII, także dali się mu we znaki w r. 1706. Z końcem XVIII w. Brześć Litewski odegrał niejaką rolę w konfederacji Barskiej a potem i Targowickiej: w r. 1769 zajęli go Puławscy, a w r. 1792 obradowali tu Targowiczanie, zanim się przenieśli do Grodna.

Pod murami Brześcia nastąpiło wreszcie niefortunne starcie Sierakowskiego z armią Suworowa, ciągnącą przeciw Kościuszkowskiej Insurekcji.

W obecnej wojnie Brześć Litewski miał — jak się zdaje — zasadnicze znaczenie dla Rosyan, jako pierwszorzędna warownia, położona w samym środku tego łańcucha twierdz, które ciągną się od północy ku południowi. Upadek jego może mieć niesłychanie doniosłe, dla Rosyi wręcz tragiczne znaczenie, dla nas zaś stanowi tymczasem całkowite oczyszczenie Królestwa z rosyjskiego najazdu.

L. R.



Sztycó niepcdp. z początku XIX w. Muz. Czapskich

K O W N O.

Wilija gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna, swego oblubieńca.....
Niemen w gwałtowne pochwyce ramiona,
Niesie na skały i dzikie przestworza,
Tuli kochankę do zimnego łona,
I giną razem w głębokościach morza.

Wallenrod.

Położone przy samym ujściu Wilii do Niemna,
jedno z najstarszych gniazd ludzkich na Żmudzi.

Kowno, sięga początkami swymi XI-go wieku. O założeniu prastarego grodu historyografia nowoczesna nie wie nic pewnego; dawne dziejopisarstwo natomiast umie podać nawpół mityczne wiadomości, które, choć widocznie bajeczne — zawierają może jakie ziarno prawdy. Maciej Strykowski w swojej *Kronice* zapisuje skwapliwie, że z końcem X. stulecia przybyło w nad-

niemieńskie strony plemię włoskie(!) pod wodzą Palemona i pokonawszy tubylców Gotów, dało początek narodowi litewskiemu. Syn Palemona, Kunos, pobudował zamek Kunassów, czyli Kowno i uczynił zeń stolicę swoich dzierżaw, rozciągających się nad Niemnem, Wilią, Niewiarą i Dubisą.

Rozrodzone potomstwo Palemona władało ziemiami litewskimi, każdy „kunigas“ czyli książę, niezależnie — aż księciu nowogrodzkiemu Ryngoltowi powiodło się zjednoczyć w jedno państwo księstwa żmudzkie, kurskie, litewskie, ruskie i podlaskie. Odtąd począł on się pisać Wielkim Księciem Litewskim.

Na potomkach Ryngolta zdobywają Kowno Krzyżacy w r. 1384 i posiadają je do r. 1399. Witold, korzystając z niesnasek między Polską a Zakonem, zajął Kowno w r. 1400 i spalił zamek krzyżacki. Odtąd już Kowno stałe należało do Litwy.

Największy rozkwit miasta przypada na w. XVI. i XVII., dzięki temu, że w r. 1581 otrzymało prawo składu towarów, idących zagranicę i posiadało główny urząd cłowy. Obrót handlowy kowieński dochodził wówczas do wysokości 3,000,000 dukatów rocznie. Nie dziw, że carowie moskiewscy pożądliwym okiem spozierali na gromadzące się tutaj bogactwa. Car Aleksy w r. 1655 uderzył na Kowno, zplupił je doszczętnie i spalił. Nie podniosło się ono już nigdy potem do poprzedniej świetności.

Po rozbiorach nastąpiły smutne czasy dla Kowna. Zniszczone pożarem w 1806 r., podupadło do reszty. Jeszcze w dziesięć lat potem liczone w mieście zaledwie dwieście domów. W tych czasach zastoju i przygnębienia przybywa do Kowna młodzieńki nauczyciel gimnazjalny na posadę szkolną: Adam Mickiewicz. Przybył w jesieni r. 1819. z duszą pełną filareckich ideałów i romantycznej poezji, ażeby w małym, prowincjonalnym miasteczku, zdala od przyjaciół i ruchu umysłowego

Wilna, rozpocząć „obkuwanie lbów żmudzkich“, a wraz z niem cały szereg klęsk życiowych: dramat zawiedzionej miłości, śmierć matki, niepowodzenia w pracy naukowo-czytelniczej, do której nie czuł się ani chętnym, ani zdolnym. Czytywał wtedy Byrona i odbywał samotne przechadzki po nazwanej potem jego imieniem dolinie kowieńskiej, o której mówi w „Grażynie“:

„Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy ruszałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, krasnym dzierzga kwiatem:
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie“.

Broniąc się przed myślami samobójczymi, wyrwał się z Kowna, kiedy tylko mógł, raz nawet na całoroczny urlop w r. 1821., ale dopiero w r. 1823. po nieudanych staraniach o stypendyum na wyjazd za granicę, uzyskał zwolnienie z urzędu, ażeby wkrótce potem udać się w podróż, przymusową, nie na Zachód, o czym zdawna marzył, ale na Wschód, w głąb Rosyi. Przedtem jeszcze przygotował i ogłosił drukiem pierwsze dwa tomy swych poezyi; niektóre z nich powstały w Kownie, inne w czasie wakacji spędzanych na wsi u przyjaciół; w niektórych są szczegóły zaczerpnięte z podań, żyjących w okolicy Kowna, lub z kronik, odnoszących się do dziejów tego zakątka litewskiej ziemi: tu należy przedewszystkiem „Grażyna“!

Dzisiaj „najpiękniejszą w świecie“ dolinę zdeptała ciężko obuta stopa żołnierza. Do starego ratusza nie wróci już może nigdy gubernator rosyjski, ażeby patrzeć z tryumfem na wznoszącą się naprzeciw żelazną piramidę, postawioną na pamiątkę odwrotu wielkiej armii Napoleona.

Mysł nasza ulatuje tam, hen za Niemen, pytając, czy zbudzi się Litawor i jakie rady usłyszy dziś od Rymwida?

Dr. S. B. L.

RAJMUND BERGEL: BEZIMIENNE GROBY.

SMUTNE GROBY BEZ NAZWISKA,
NAD KTÓRYMI KRZYŻ POŁYSKA,
Z BIAŁEJ BRZOZY UCIOSANY,
PRÓCHNIEJACY, ZAPOMNIANY
KRZYŻ

INNYM LAURY, INNYM SŁAWA
A WAM TYLKO DOLA KRWAWA
A WAM TYLKO MROK MOGIŁY,
A NA GROBACH TEN POCZYŁY
KRZYŻ

INNYM SZCZĘŚCIE, INNYM ŻYCIE
I O NOWYCH LATACH ŚNICIE
A WAM TYLKO ŚPIEW PTASZYNY
I UBOGI TEN Z BRZEZINY
KRZYŻ

PRZYJDA TAKIE CZASY MOŻE,
ŻE WAM PIERSI PŁUG ROZORZE
I ŻE W PRÓCHNO SIĘ ROZSUJE
TEN, CO PRZY WAS DZIŚ WARTUJE,
KRZYŻ.

A SŁONECZNA, ŻŁOTA WIOSNA
ŁANEM GROBY WAM POROSNA
NOWYM LUDZIOM — NOWE PŁONY,
JENO WAM ZA TRUD SPEŁNIONY —
KRZYŻ!

NA TEM POLU, NA TYM ŁANIE
Z WASZYCH SIEWÓW ŻNIWO WSTANIE,
A ZA PŁONY, ZA PODZIEKĘ
CHŁOP POSTAWI BOŻĄ MEKĘ:
KRZYŻ...

I PRZEJDZIECIE — BEZPOTOMNI,
CZAS ODBIEŻY, ŚWIAT ZAPOMNI.
JUŻ NIE DLA WAS ZÓRZ ŚWITANIE,
JENO TEN NA ŻŻĘTYM ŁANIE
KRZYŻ...



ARTUR GROTTER.

POLONIA IV. -- BITWA.

..... NIERAZ WIDZIAŁEM
GARSTKĘ NASZYCH WALCZĄCĄ Z MOSKALI NAWAŁEM.
GDY GODZINĘ WOŁANO DWA SŁOWA: PAL, NABIJ:
GDY ODDECHY DYM TŁUMI, TRUD RAMIONA SŁABI.
..... AŻ RĘKA W WŁADOWNICY DŁUGO I GŁĘBOKO
SZUKAŁA, NIE ZNALAZŁA I ŻOŁNIERZ POBLADNAŁ,
NIEZNALAZŁSZY ŁADUNKU, JUŻ BRONIĄ NIE WŁADNAŁ,
I UCZUŁ, ŻE GO PALI STRZELBA ROZOGNIONA
UPUŚCIŁ JĄ I UPADŁ – NIM DOBIJĄ, SKONA:

MICKIEWICZ: REDUTA ORDONA.

ZAPISKI PORUCZNIKA PEKSYCYA - GRUDZIŃSKIEGO

OPRACOWAŁ J. KADEN BANDROWSKI.

Odwiedzony do szpitala w Jędrzejowie, uciekł stamtąd Grudziński i już 27 maja meldował się w sztabie, przebywszy drugiego dnia podróży 70 klm. Następnego dnia dotarł już do swej kompanii i z powrotem objął nad nią komendę w okopach koło wsi Żerniki.



Furmanki w lesie.

[Fot. z nat.]

Idą już dnie ostatnie.

1 czerwca. Żerniki, okopy. Dzień słoneczny, piękny. W okopach nie chce się nic robić. Strzelałem trochę z rosyjskiego karabinu w stronę Moskali. Zresztą bez wypadków.

2 czerwca. O 1-szej godz. rano zaalarmowały kompanię strzały i krzyki „hurra“, na lewo od nas. Wysłałem patrole dla stwierdzenia rzeczy. Moskale w sile 1 kompanii zaatakowali placówkę 1 kompanii. Placówka napadnięta z tyłu, przebiła się przez Moskali do okopów. Dwóch naszych wzięto do niewoli, czterech rannych (od bagnetu i granatu ręcznego). Placówka dostała pochwałę od Oberstleutnanta Dückelmana. Moskali wzięto dwóch do niewoli i jednego rannego. Jeńcy zeznali, że mieli zabitych, ale ich zabrali. Rano wcześniej poszedłem na patrol z Kowalikiem i napukałem się dowoli z rosyjskiego karabinu. — Dzień później przespałem. Wieczorem na odprawie w batalionie, fasunek etc.“

Na tem kończy się pamiętnik. Następnego dnia zginął Grudziński pod Modliborzycami, prowadząc patrol pod okopy nieprzyjacielskie. Nie dał się wziąć żywym. Śmiertelnie ranny w głowę, postrzałem w serce przerwał swe życie. Wróżka, która mu przepowiadała, omyliła się co do daty, lecz nie co do rzeczy samej. Zaś gdyby Grudziński mógł, gdyby to możliwym było, zapewne nie więcejby w pamiętniku o śmierci swej napisał, jak tylko, że zginął, nie mogąc oddać następnej szarży komendy kompanii.

W tak skromnych słowach, w tak prostych terminach zamknięte życie świetnego oficera, walecznego żołnierza, czyż nie jest wzorem i typem tego ideału, do jakiego dążyła młodzież drużyniacka w uciążliwym okresie przedwojennych organizacyi i przygotowań?

W typie tym znajduje się wiara silna i czynna, zamieniająca nadzieję w rzeczywistość, uprzedzająca sprawowaniem Służby jej nastanie ostateczne.

Stwarzał

w sobie mus i obowiązek, mimo, że rękojmia tego obowiązku leżała dopiero w Przyszłości. Prostota, jasność z jaką postępował, uprzedzała wypadki. Porucznik Grudziński należał do pracowników, którzy wyprzedzają Los i naprzód przed falę wysunięci, biegowi jej za cel służą i za szczytną granicę.

A teraz scharakteryzowawszy dwa małe notesy, w których spisany jest osobisty pamiętnik, przegłędnijmy ów duży zeszyt trzeci.

Jest to jak gdyby pamiętnik służbowy, tu i ówdzie przetkany wierszami, na którego treść składają się: Służba wewnątrzna (dyżurni kompanijni). Szerzeg uwag o charakterze tej służby.

Pogotowie.

Warty.

Uwagi te widocznie zapisał sobie porucznik, by nie mieć żadnych w tych kwestiach wątpliwości.

A potem na str. 15:

„Jeden z synów gen. Nogi zginął na wzgórzach Nauszau, drugi w dolinie Ljaotung pod Portem Artura. Oto, co ojciec napisał na śmierć młodzieńców:

Niechaj zakwitną ponsowe róże
Tam, gdzie me dzieci przelały krew
Całą dolinę i całe wzgórze
Niechaj okwiecą ponsowe róże.
Lśniące w wieczystej słońca purpurze
I wciąż bujniejszy dające siew,
Tam, gdzie me dzieci przelały krew...

Dalej do strony 18-tej wiersze różne, jeden z nich podpisany — Znatowiczówniej. Następne kartki zajmują: Wykaz oficerów I Batalionu. Raport z działań I Batalionu pułku 2-go w dniach 22—25 grudnia 1914. (Z pod Łowczówka). Wykaz imienny rannych i zabitych w walkach pod Łowczówkiem I-go batalionu 2-go pułku. Instrukcje i raporty z komendantury placu w Kętach. Spisy kompanii 4-tej VI-go Batalionu, któ-



Przed główną kwaterą.

[Fot. z nat.]

rej Grudziński był kompanijnym komendantem w ostatnich walkach.

Porządek służby w okopach (z nad Nidy). Znaczenie musztry w wychowaniu żołnierza i w organizacyi wojska. Raport z działalności i stanu kompanii 4-ej batalionu VI Bryg. Piłsudskiego za czas od 26 lutego

do 2 maja 1915. (To znaczy z walk pozycyjnych z nad Nidy). Działanie 4-ej kompanii VI Batalionu w bitwie pod Wszachowem 21 maja 1915. (Ostatnia bitwa Grudzińskiego).

Z materiału tego, zawsze bardzo starannie przerebionego, wybieram dla ogłoszenia drukiem małą rozprawkę Grudzińskiego, pod tytułem: „Znaczenie musztry w wychowaniu żołnierza i w organizacyi wojska”. W zdaniach prostych wyraża się tu jasny, słuszny pogląd na rzeczy głęboko w ladzie społecznym tkwiące.

„Armia jest wykonawczynią myśli i zamierzeń danego narodu czy państwa, jest siłą, porządkującą i normującą stosunki nazewnątrz, i nawewnątrz wymienionych jedności. Samo istnienie jej i potrzeba tegoż wskazuje na konieczność posiadania przez nią podstawy moralnej, to jest świadomości celu, dla którego istnieje.

Armia, świadoma celu swego, zyskuje na sile, — może wyrównać i zastąpić słabość liczebną względem przeciwnika. Przykłady na to widoczne są z każdej strony historii, bierzmy np. wojnę rosyjsko-japońską — lub choćby mały epizod z niej, bitwę pod Sandepu; kilka świadomych siebie i pełnych zapалу kompanii japońskich, bije zwycięsko bezduszną dywizję rosyjską.

Warunkiem bytu armii jest organizacja. Nazwa ta obejmuje nie tylko zewnętrzne ułożenie i uporządkowanie wszystkich instytucji tworzących daną armię, ale także ducha, ożywiającego te instytucje i niedającego zastępną im w bezdusznym formalizmie. Zewnętrzna zatem forma wspiera wewnętrzną jej siłą, wola kielzająca i skupiająca w jednym kierunku rozbieżne dążności jednostek.

Organizacja armii ogranicza w wielu wypadkach wolę jednostek na rzecz wyższej jednostki, ogółu, przez co łączy wiele rozbieżnych sił w jedną i nią uderza. Wiele jednostek, skupionych organizacją wojskową, ginie w bitwie, a jednak siła moralna tej organizacyi żyje i zwycięża, nie znać w niej ubytku poległych.

Nie mogę rozpisywać się tutaj, nie ma bowiem na to czasu i miejsca, pominię zatem wiele rzeczy, chcę jednak zwrócić uwagę na to, co mnie zajmuje w organizacyi wojskowej i na co dużo zwracałem uwagi przed wojną i w czasie wojny.

Rzeczą tą jest to, co daje siłę i podstawę organizacyi wojskowej, to jest musztra.



Kuchnia polowa.

Fot. z nat.

Wiele jest mniemań, że ostatecznie można się bez niej obejść, że w dzisiejszej wojnie, w której tak wiele wybija się indywidualizm jednostki, jest musztra nawet już niepotrzebna. Mniemanie podobne jest z gruntu fałszywym i wypływa z niedostatecznej znajomości historii wojen a nawet ludzi.

Rewolucje, w których masy brały udział, o ile miały się utrzymać, tworzyły jaknajszybciej uporządkowaną siłę wojenną i nią działały.

Trzeba tylko zrozumieć, że wymusztrowanie żołnierza objawiające się dajmy na to w szybkości jego zwrotów, w postawie, w jednolitości ruchów z innymi, nie zabija wcale indywidualności żołnierza, ale owszem, ją wzmaga, jest środkiem do spotęgowania jego dzielności i bitności.

Wielką zaletą w bitwie jest zachowanie spokoju i zimnej krwi. Spokój ten i pewność siebie da żołnierzowi tylko musztra. — Wezmę tylko jeden przykład z wojny francusko-pruskiej 1870 r., z bitwy pod Gravelotte. Jeden z batalionów pruskich w czasie silnego ognia artylerii nieprzyjacielskiej zawałał się i okazał skłonność do ucieczki. Zorientował się w sytuacji jeden z młodych oficerów i dobrze wyćwiczonym żołnierzom zakomenderował ruchy bronią. W jednej chwili batalion odzyskał potrzebny spokój. A wojna polsko-rosyjska 1831 r. okazała, że na placu boju najlepiej były się te pułki, które najlepiej występowały na Placu Saskim na paradach.

Wtem widzę znaczenie musztry (naturalnie, nie biorąc tego w sposób przesadny) w wyrobieniu pewności siebie i spokoju w żołnierz.

Weźmy naprzykład dwie kompanie, jedną wyćwiczoną i jedną sklejona na gwałt — obie zaś pałające żądzą walki.

Kompania wyćwiczona umie dobrze ładować broń, żołnierze ćwiczyli to wiele razy na tempa, mają pewność i szybkość w otwieraniu zamków, w składaniu się etc.; w wychowaniu ich zwracano uwagę na szczegóły, poprawiano ich ruchy.

Kompania niewyćwiczona psuje tylko przy ładowaniu karabiny, łamiąc naprzykład podajniki wskutek złego nakładania naboju.

Przychodzi czas bitwy. Kompania wyćwiczona zachowa spokój, nie będzie się denerwować, żołnierze



W rowach strzeleckich pod Konarami.

Fot. z nat.



S. p. Pększyc-Grudziński.

Fot. z nat.

rze będą dobrze nabijać karabiny, składać się i strzelać.

Kompania słabo wyćwiczona straci od razu spokój, zaraz przy pierwszym repetowaniu lub ładowaniu.

Spotkałem wielu żołnierzy, którzy opowiadali o utracie spokoju i przestraszeniu wskutek trudności przy ładowaniu karabinu, spowodowanej np. niepełnym otwarciem zamka, czego nie mogli szybko spostrzedz, wskutek niebaczności na szczegóły przy ich musztrowaniu.

Tak więc musztra wytwarza pewność siebie u żołnierza i wprawia go w pewien stan napięcia wojennego. Postawa „baczność!” nasuwa żołnierzowi myśl ataku. Instyktowne odczucie, że cofnąć się nie można przed niczem. Zbiorowisko ludzi, ujęte w formy przez musztrę, zwiększa olbrzymio swoją siłę, — karność i spokój daje się odczuć już zdaleka. Pod Leuthen pierzcha nieprzyjaciel w popłochu na sam widok pruskiej piechoty w żelaznym spokoju ruszającej do ataku.

W wytworzeniu więc nastroju wojowniczego i napięcia ducha w żołnierzu, leży znaczenie i konieczność rozumnie ujętej musztry, która temsamem jest jedną z najkonieczniejszych podstaw organizacji wojska, wytwarzając karność, a temsamem dając możliwość uderzenia i działania masami ludzkimi w pewnych kierunkach dla ogólnych celów.

Tur Piaski, 16 kwietnia 1915.

Podobno porucznik Grudziński Pększyc zostawił był w domu wśród pism swoich kilka zupełnie ukończo-



Podwoły.

Fot. z nat.

nych rzeczy z zakresu sztuki wojkowej. Należałoby z czasem zebrać je i wciągnąć do skromnego inwentarza, odradzającego się u nas po tylu latach piśmiennictwa wojkowego. Dziś jeszcze nie pora po temu — stoimy w walce i któż ma czas głębszym oddawać się studjom.

Lecz chciałbym, by tych kilka słów z bogatej zapewne spuścizny Grudzińskiego wyjętych, poszło w świat, zwłaszcza, żeby je przeczytać chciała młodzież nasza. Niechże patrzy, w jak niewielu słowach wielka pełniła się zasługa, niechże się z tych słów walecznego porucznika Brygady Piłsudskiego uczy milczeć i działać, czyny stwierdzać, a nimi się nie chwalić. Niechże patrzy nasza młodzież, ile hartu i spokoju, powagi i jasności towarzyszyć może człowiekowi od pierwszych progów życia o ile przestępuje je o Ojczyźnie i szczęściu jej myśląc. Niechże młodzież nasza, czytając te stronicę, zauważy, jakiej rekreacji i spoczynku zażywał Gru-



W zakopach.

S. p. Pększyc-Grudziński.

Fot. z nat.

dziński po trudach swych, gdy pisał na marginesie spraw służbowych

W przestworzach światów jaźni jest tysiące
a ile jaźni tyle celów mają;
są cele wielkie, pyszne, lśniące,
są takie, które słabo migotają.

Wszyscyśmy z jednej jaźni wyszli: Boga
Dziś rozstrzeleni na jaźni tysiące,
szukamy go znów w sobie... rzesza mnoga,
pragnienie mamy olbrzymie, tęskniące.

Ciągle odmienne przechodzimy drogi,
dążymy zawsze... nie znamy strudzenia,
coraz piękniejsi... jakby greckie bogi,
życia i siły mamy utęsknienia...

Idą już czasy piękne i wiośniane!
Czują to duchy wieczne, nieśmiertelne
Idziemy ku nim duchy nieskalane,
silne i piękne, miłosne i dzielne.

Opatkowice Drewniane, 22/III 1915.

WOJENNE DZIEJE WARSZAWY.

VI.

Gnębiony rosyjskim uciskiem naród nie mógł się pogodzić ze swoim losem. Podziemne organizacje, acz tępione bez miłosierdzia, szerzyły się po całym kraju. Po schwytaniu i rozstrzelaniu Szymona Konarskiego pod Wilnem w r. 1839, sprzysiężenie przez niego związane przetrucilo się do Warszawy pod nazwą „Świętokrzyżców“, która

spiskowcy przyjęli dlatego, że gromadzili się w domu należącym do kościoła św. Krzyża. Wykryto ich i zesłano na Sybir, między innymi poetów Gustawa Ehrenberga, Karola Balińskiego i literata Aleksandra Krajewskiego. W r. 1844 X. Ściegienny zorganizował nowe sprzysiężenie w Lubelskiem; i on i towarzysze poszli do ciężkich robót w Nerczyńsku. Nieodstraszeni tem, Pantaleon Potocki w Siedlcach a Lu-



Pogrzeb pięciu poległych.

dwik Mazaraki w Miechowskiem, usiłowali w r. 1846 rozniecić powstanie. — „Nieustanne wybuchy buntownicze — pisze do Petersburga Paskiewicz d. 1 marca 1846 — zrobiły to, że przewodców trzeba koniecznie karać śmiercią i sądzić sądem polowym. Ta okoliczność zmusiła mnie do ogłoszenia w Polsce stanu wojennego. Rozporządzenie to jest jedynym środkiem utrzymania w karbach szlachty. Szlachta ta od miesiąca napełnia strachem dobrych i uczciwych obywateli. Trzeba jej tem samym odpłacić za strach — strachem. Trzeba, żeby zasypiając wieczorem, bał się, że w nocy może być wzięty pod klucz...“ Rewizjom, aresztowaniom, wieszaniom na stokach cytadeli warszawskiej nie było końca.

Wypadki europejskie 1848 odbiły się żywym echem w Polsce. W Warszawie powstało sprzysiężenie Henryka Krajewskiego, na Litwie — braci Dalnowskich. Wykryto je w r. 1850 i uczestników zesłano na Sybir.

Nie wiele zmieniło się ze wstąpieniem na tron Aleksandra II w r. 1856. Zmroził on wszystkie nadzieje Polaków słynnym powiedzeniem: „Point de reveries, messieurs!“ Od roku 1860 rozpoczęły się gromadne manifestacje, protestujące przeciw uciskowi rosyjskiemu. Najkrwawsza była manifestacja 27 lutego. Tłumy ciągnęły z głośnym śpiewem z kościoła Karmelitów na Lesznie przez Stare Miasto. Kozacy pod kolumną Zygmunta chcieli pochód zatrzymać. Równocześnie od Bernardynów na Krakowskiem Przedmieściu wychodził pogrzeb sybirskiego wygnańca, Lempickiego; kozactwo napadło na kondukt pogrzebowy, pogruchotało krzyż, pletniami okładało publiczność. Na kozaków po-

sypały się cegły z budującego się tam domu. Wszczął się rozruch. General Zablockij zjawił się z oddziałem piechoty i kazał dać salwę do tłumów. Padło pięć ofiar: dwóch obywateli ziemskich, rzeźnik, wyrobnik i gimnazjalista. Dnia 2 marca odbył się uroczysty pogrzeb pięciu poległych, sto tysięcy ludu szło za trumnami. Na cmentarzu powązkowskim ceremonii religijnych dopełnili biskupi

katoliccy, po nich pastrowie, w końcu rabini, dla zmanifestowania jedności narodowej.

Namiestnik X. Michał Górczakow, na przedstawienia delegacji, złożonej ze wszystkich stanów, która wytykała gwałty i nadużycia władz rosyjskich, postanowił złagodzić gnębicielski system i uzyskał na to przyzwolenie z Petersburga. Na miejsce znienawidzonego Muchanowa, przyszedł Polak, Aleksan-

der margrabia Wielopolski. Ale było już za późno: szerokie warstwy ludowe, rozdrażnione do żywego i w tem rozdrażnieniu podtrzymywane przez konspiratorów, nie dały się już niczem ukoić. Przyszło do nowych manifestacji, które skończyły się strzelaniem do ludu na placu zamkowym. Padło blisko 2000 zabitych.

Wobec tej krwi, strugami spływającej po warszawskich brukach, wszystkie przez Wielopolskiego wprowadzane ustępstwa i ulgi, nie mogły wpłynąć łagodząco na rozgoryczone społeczeństwo. Nawet reformy tak doniosłe i dobroczynne, jak oczyszczenie włościan i otwarcie uniwersytetu pod nazwą Szkoły Głównej, nie zmniejszyły napięcia rewolucyjnego.

Uliczne demonstracje powtarzały się raz po raz, a potem przeniosły się do kościołów, gdzie tłumy śpiewały na kłęczkach pieśni patriotyczne. Do kościoła św. Krzyża, Bernardynów i do katedry wtargnęło wojsko, wywlekło lud i uwięziło 3.000 osób. Skutkiem tych gwałtów nakazała władza kościelna zamknięcie wszystkich świątyń. W ślad za tem poszło połączenie się różnych tajnych stowarzyszeń w Centralny Komitet Narodowy, który przekształcił się niebawem w Rząd Narodowy rewolucyjny. Zaczęto gromadzić broń i pieniądze, werbować i zaprzysięgać ochotników. Równocześnie przyszło do szeregu zamachów na Wielopolskiego i na rosyjskich przedstawicieli władzy, jak nowy Namiestnik W. Książę Konstanty Mikołajewicz, Lüders i naczelnik tajnej policji Felkner. Wielopolski, który z najlepszymi chęćmi podjął się był zażegnać nadciągającą burzę, nie zdołał wzbudzić zaufania w narodzie, co było nie-

Fot. z obrazu współcz. Muz. Czapskich.

odzwonnym warunkiem do uzyskania w Petersburgu dalszych ulg i reform. Wszystko parło do nieuniknionej katastrofy. Margrabia postanowił zapobiedz jej za wszelką cenę. Masowy pobór do wojska mógł uniemożliwić powstanie. Wielopolski nie zawahał się nawet przed tak ostatecznym środkiem. Rozpoczęła się słynna branka, mająca na celu wzięcie pod karabin wszystkich rewolucjonistów między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Branka przeszła w istną obławę na ludzi, a skończyła się tłumną ucieczką młodzieży w lasy Jabłonny, Serocka, Zegrza i puszczy Kampinoskiej. Tak wybuchło powstanie w nocy z 22 na 23 stycznia 1863 r.

Tym razem stolica polska nie była widownią tych beznadziejnych walk, jakie staczały źle uzbrojone „partye“ z regularnem wojskiem rosyjskiem. Warszawa była w czasie tych krwawych zapasów pozornie bezczynna i martwa. Tylko tajnie płynęły składki i z ukrycia kierował ruchem powstańczym Rząd Narodowy. Skład jego zmieniał się wielokrotnie. Od połowy października prezesem Rządu Narodowego został Romuald Traugut, jeden z najdzielniejszych partyzantów litewskich. Dążył on usilnie do połączenia luźnych dotychczas oddziałów powstańczych w kadry armii regularnej. Liczył ciągle na „interwencję europejską“, którą miała spowodować mowa tronowa Napoleona III. Do interwencji nie przyszło; powstanie zawiedzione we wszyst-

kich nadziejach — dogasało. Na stokach cytadeli warszawskiej 5 sierpnia 1864 ponieśli męczeńską śmierć szubieniczną ostatni członkowie Rządu Narodowego: Traugut, Rafał Krajewski, Roman Zieliński, Józef Toczyski i Jan Jeziorański. Po tamtych czterech ostatni pod szubienicą stanął Traugut. „Odmawiał on modlitwy ze swoim spowiednikiem, nie zwracając uwagi na to, co się wokoło niego dzieje. Złożył wreszcie ręce jak do modlitwy i w tej pozycji widziano, iż biała postać zawisa obok czterech innych. Wielki jęk z piersi wielu tysięcy ludu wówczas rozległ się, glusząc huk bębnow i dźwięk muzyki wojskowej...“ (Maryan Dubiecki: *Romuald Traugut*).

Po zgnięceniu powstania przyszła długa, sześćdziesięcioletnia noc niewoli, rozdarta jak błyskawicą wypadkami r. 1905: rozruchy, rabunki, gwałty, zamachy, wojskowe salwy w biały dzień po ulicach miasta. Potem wrzekoma konstytucya, 200,000 ludu w pochodzie radosnym z narodowymi sztandarami, i z nienacka na te bezbronne tłumy wypuszczona szarża wojskowa, setki trupów na placu Teatralnym, a potem z każdym dniem uszczuplane, cofane, łamane swobody konstytucyjne i z dniem każdym rosnąca fala bezmyślnej, ciemniejącej, wiarołomnej reakcji rosyjskiej.

W końcu wybuch wojny 1914 r. i pamiętny dzień 5. sierpnia 1915.

L. Rydel.



Zakątki Starej Warszawy.



Fot. z nat.

E. ROSZYŃCÓWNA: ROZMOWA O TĘSKNOCIE.

Ciąg dalszy.

— Te ich przechadzki po lesie! — rozmyśla niewesoło Kurlakowski, ani słuchając, co mu tam dziewczyna za plecyma plecie. — Dzięki tym przechadzkom przyczepiło się dziś do niego to utrapione panięskie licho w czerwonych pończochach i człapie za nim wytrwale po błocie. Raczej nie przechadzki tu zawiniły. To astry i ten trzmiel czy szerszeń. A może nie tyle zawiniły astry i trzmiel, co ten dzień na schyłku lata, poblądły, nie letni już i nie jesienny jeszcze, słodki i otumaniający jak stary miód i prawie jesienne już słońce, przejrzyste i wytrawne, niby stare wino.

Jakich bowiem niedorzeczności nie popełnia się po pijanemu! Czcigodny ojciec Cyryl i kulawy diaczek, któremu nawet chodzić jest ciężko, po pijanemu do rana tańcowali w błocie z boginkami czy żabami! Niechybnie Kurlakowski był pijany wtedy rozlaną w powietrzu słodyczą, błękitem i słońcem. A już najwięcej zawiniła tu panna Gabryela.

A było to tak!

Kurlakowski, ilekroć przyjeżdżał na wieś, odwiedzał

zawsze ojca Cyryla. Gawędzili ze sobą długie godziny. Stary ksiądz, naiwny jak dziecko, pokazywał mu swoje motyle w pudelkach i swój zbiór wypchanych ptaków, którego największą ozdobą była wspomniana przez pannę Gabryelę krasowronka i mysikrólik, nieistniejący już dziś niestety, bo go mole zjadły. Uproszony przez Kurlakowskiego opowiadał mu niektóre apokryficzne legendy, których umiał wiele, a wszystkie zabarwiał po swojemu, dodając do charakterystycznych w swej zastygłej surowości obrazków bizantyjskich coś jakby trochę żywych barw, zaczerpniętych z koralu i wyszywanych koszul żywego ludu, ot tyle tylko, by gdzieniegdzie na przygasłym złotem tle obrzeżyć czerwienią lub błękitem i uwydatnić jakiś kontur i linię. Mateńka Boża, jak nazywał Matkę Jezusa, w opowieściach tych chodziła bosa, w koszulach ze zgrzebnego płótna, w drukowanych dymkach i koralach. Bielila płótno i warzyła strawę w glinianych garnkach na okopconym kominie, jak najzwyczajniejsza chłopka. Do chruścianej stajenki, gdzie trzymała chudą krowinę, jedną owieczkę i dwie

czubate kury, co nocy czort się zakradał, wzięwszy na się postać wilka lub lisa, dusił i porywał ubogi Jej dobytek. Zato święta Magdalena nosiła lakierowane trzewiki na wysokich korkach, kapelusze z piórami, suknie z ogonami i przypominała do złudzenia panny ze dworu.

Kurlakowski później opowieści te, nie roniąc niczego z ich jaskrawych barw, czerwieni, błękitu i złota, ujmował w bezcenną artystyczną oprawę i zadziwiał nie mi ludzi.

Niekiedy rozmawiali także o matce pana Józefa, którą stary samotnik znał i pamiętał dobrze. Nieboszczka pani Kurlakowska z nieboszczką jego żoną przyjaciółkami były. Żona jego także była pięknie edukowana, całymi dniami grała na fortepianie i śpiewała, a w księżycowe noce chodziła po sadzie z podniesionymi w górę oczyma i deklamowała wiersze. Najadła się wilczych jagód w lesie i umarła. Dwadzieścia sześć lat leży w grobie, a ojciec Cyryl dziś jeszcze kiwa głową, dziwiąc się, że go chciała.

Czasem znowu ksiądz prowadził gościa w ogród i pokazywał mu swoje kwiaty, astry i nieśmiertelniki, które tam z zamilowaniem hodował. Wprawdzie panna Gabryela utrzymywała, iż hodował je tylko dlatego, by mózdz jak najtańszymi kosztem stroić ikony w cerkwi.

Gdy tej jesieni odwiedził starego samotnika, zastał przy nim pannę Gabryelę. Wydało mu się, że to jedna z bizantyjskich świętych z apokryficznych legend starca ożyła i przyszła do małej plebanii dzielić z nim samotność: takie to było śniade, sztywne i niezgrabne, w tak jaskrawe a spłowiałe sukienki ubrane i tak nienaturalnie duże i czarne miało oczy. Oczy te patrzyły się na niego z nieufną ciekawością, szczególną, nie mającą w sobie nic ludzkiego, niby oczy wiewiórki, przyglądającej się z wysokiej, bezpiecznej gałązki człowiekowi na ziemi. Kiedy mimochodem popatrzał w nie, uciekły spłoszone i ukryły się pod rzęsami, które dziewczyna miała czarne ze złocistymi, w górę zagiętymi końcami. Zabawiło go to, więc spojrzął po raz drugi i trzeci w tę stronę. Spoglądał coraz częściej. Dziewczyna zaciskała usta, a oczy jej trzepotały się w długich gestych rzęsach niby dwa czarne owady, złowione w złocistą siatkę. Raz, przy pożegnaniu, zatrzymał dziewczynę za rękę, pochylił się i zajrzał jej w oczy z bliska. Panna Gabryela, nie mogąc uciec, wlepiła je w prześladowcę szeroko rozwarte i przerażone, niby zlapana zniecka wiewiórka. Zobaczył wtedy, że właściwie nie są to czarne, tylko piwne, nawet jasno piwne, z czerwonym odcieniem, mają tylko niezwykle duże i rozlane źrenice i dlatego zwodzą ludzi, że są czarne.

A potem nadszedł ten dzień przy końcu sierpnia, ten właśnie jak miód i stare wino. Było to popołudnie. Ojciec Cyryl oprowadzał gościa po klombach, podobnych do wielkich bochnów razowego chleba i pokazywał mu jakieś niezwykle odmiany astrów. Gość przez grzeszność potakiwał, a patrzył ponad kwiaty, w miejsce, gdzie mała bizantyjska święta, stojąc po kolana w różowych astrach, wypatrywała między kwiatami najbardziej różowe, bo takie się jej najbardziej podobały, by je sobie wpiąć do włosów. Miała wtedy na sobie wypelzłą różową w białe kratki sukienkę z fałdzistą spódnicą i rozpróty szwem na plecach. Zbliżyli się z ojcem Cyrylem w tę stronę i schylili się wszyscy troje nad jakąś „comtesse Alisme“ czy „Antoinette“, podobną do funta waty, zatkniętego na cienkim patyku, jak zauważyła panna Gabryela, w której oczach błada barwa kwiatu nie znalazła łaski. Kurlakowski miał tuż przed ustami śniady, jakby z żytniego chleba ulepiony

karczek panny. Byłby przysięgł nawet, że pachnął świeżym żytnim chlebem. Na policzek dziewczyny rzuciło słońce świetlistą, drgającą plamę. Od słońca tego policzek nabral soczystego kolorytu dojrzałego jabłka, a spadający nań kosmyk włosów i spuszczone rzęsa, grały purpurowo-rudą barwą miedzi. Na krótkich śniadych łapkach dziewczyny, splecionych w kulkę i opartych na zgiętem kolanie, jaśniał, niby drugie miniaturowe słońce, pozłacany pierścienek.

Nagle z pomiędzy białych falbanek, „comtesse Alisme“ czy „Antoinette“ wychylił się ze złośliwym bzykaniem duży brunatny, jak tygrys żółto pręgowany trzmiel. Panna Gabryela krzyknęła i rzuciła się w tył. W tej samej chwili uczuła na odsłoniętym karku usta Kurlakowskiego. Ojciec Cyryl suchą gałązką agrestu atakował drugiego trzmiela, ukrytego w liliowej krynolinie „cesarzowej Eugenii“; sąsiadki „comtesse’y Alisme“. Długie białe pasma jego włosów wionęły w bladobłękitnym powietrzu niby srebrne wojenne sztandary, a żółty ptasi nos, godził ostro, jak ułańska lanca, we wroga.

A Kurlakowski tymczasem dobrał się ustami do płatka przejrystego w słońcu, jak dojrzała bladobłękitna wiśnia — do ucha.

Potem jedno i drugie przypadkowe spotkanie w lesie. Potem trzecie i czwarte, już umówione. Panna Gabryela miała tam, jak prawdziwa bizantyjska święta, cudowne, szczerozłote tło z żółkniejących buków, a małe, czerwone, srebrno nakrapiane muchomory pod stopami. Różową sukienkę zastąpiła odświętna bluzka z zielonego jak szmaragd atlasu, którego dwa łokcie i pół zostało z nowej zasłony do bocznego ołtarza w cerkwi. Była tedy niby barwną ilustracją do legend ojca Cyryla. Nazywał ją też, mimo jej dąsów, świętą Małanką lub Anastazyą i czcił ją jak prawdziwą świętą, pocałunkami, wprawdzie nie w nogi, (panna Gabryela nosiła takie podarte trzewiki), ani też w ręce — panna Gabryela nie miała zwyczaju szlifować paznogi — lecz w usta i oczy. Dziewczyna nie wrywała mu się z ręką, bladła, zaciskała usta, zamykała oczy i pozwalała mu się całować ile chciał. Sama nigdy pocałunków mu nie oddawała. Czasami siadali na pniach bukowych, okrytych zielonym lub srebrzystym mechem, jedli kwaśne, pierwszym przymrozkiem zwarzone grona kaliny i wiedli ze sobą długie rozmowy. Kurlakowski pokpiwał sobie ze swej towarzyszki, panna Gabryela słuchała tego z niezmienną słodyczą. Właściwie zawsze albo drwił albo całował. Innego go nie znała.

Potem złote liście buków, tych ze środka lasu, zgasły i opadły. Tych z kraju lasu przyschły do drzew i zrdzewiały jak stare żelaziwo. Las stał się cały skrós przejrzysty, niby szklany, a tajemne ścieżki w nim, jak strzępy i węzły szarego powroza, który ktoś, nie wiedząc po co, omotał tu i ówdzie dokoła pni bukowych. Panna Gabryela sama po nich chodziła i gryzła kalinowe jagody. A potem przyszły deszcze.

Kurlakowski najchętniej byłby wyjechał, nie żegnając się z panną Gabryelą.

— A przecież — mówi dziewczyna, nieraz cały las schodziliśmy, a nie widzieliśmy dyabła. Chyba, że... chi... chi... pan sam był tym wujowym dyablem w rękawiczkach!

Z za prawego ramienia Kurlakowskiego wysuwa się mała twarzyczka, pokureczona cała od śmiechu. Od śmiechu tego brwi na niej wykrzywiły się w dwa znaki zapytania, a oczy pod nimi zwięzły się w dwie czarne

poprzeczne szpareczki. Kurlakowski ściąga usta z niesmakiem i milczy.

— Chi... chi... kto był tym dyablem? Jak pan sądzi? — wystawia mu panna Gabryela głowę, tym razem z za lewego ramienia.

— Sądzę, że święta Anastazyja zmieniła się dzisiaj w złośliwe lichy, co się w błocie kąpie, do ludzi się przyczepia i im dokucza!

— Wcale nie jestem świętą Anastazyją!

— Tak; sam to widzę teraz. Była pani i jest złośliwym lichem, co ludziom dokucza.

— Wcale panu nie dokuczam! To pan mi dokucza — wybucha płaczliwie panna Gabryela — choć nie panu złego nie wyrządziłam ani dziś, ani...

Tu głos się jej załamuje i reszta zdania ginie w przytłumionym szlochu.

— Myślisz może, że cię tu pocieszać będę? koić? utulać? — myśli ze złością pan Józef, ale bojąc się, że nieostrożnym słowem może potrącić i wywrócić całe wiadro lez panińskich, postanawia zacisnąć zęby i milczeć.

Minęli już ostatnie chaty. Już są w szczerem polu. Za nimi z mgły wybiegła droga i w mgłę przed nimi biegnie. Równo ponad drogą wyciągnęły się szare, zamglone pola. Równo ponad polami wyciągnęło się szare i zamglone niebo. Gdzieś na skraju pól rozciągnął się czarny las, niby gruba, włochata gąsienica. Nad lasem, na zachodzie, bardzo daleko, świeciła jakaś jasność wązka i niewyraźna. To zachodziło we mgłę słońce.

Wzdłuż drogi stały z rzadka sadzone wierzby i gwarzyły sobie coś po cichu z jesiennym wiatrem, który wiał niewiadomo skąd i nie wiadomo w jakim kierunku, nierówno, raz z prawej, drugi raz z lewej strony. Wyglądało to, jakby to nie wiatr wiał, tylko pola pod mgłą oddychały.

Pas szczerego pola i znowu kilka czarnych wierzb wysuwa się z mgły.

— Prawda, panie — szarpnęła panna Gabryela Kurlakowskiego za rękaw — że wyglądają one całkiem jak stare baby z tobołami na plecach, człopiące po błocie jedna za drugą na odpust czy z odpustu.

— Kto? — syknął niecierpliwie Kurlakowski.

— Wierzby.

— Ach, wierzby...

— I pogubiły z tobołów lusterka, które sobie kupiły na odpuscie — wskazuje panna Gabryela na małe, rozsypane tu i ówdzie po drodze kałuże.

W tej samej chwili następuje nieostrożnie na leżące poprzek drogi zwierciadło. Z głośnym chlupotem tłucze się zwierciadłana powierzchnia, a mokre i brudne okruchy opryskują jej całą twarz. Kurlakowski wybucha śmiechem.

— Któż widział chodzić po zwierciadłach?!

— To nie zwierciadła, to woda — mówi panna Gabryela, wycierając sobie ręką usta i powieki.

— Sama pani mówiła, że zwierciadła, a nie woda. Nie spieram się zresztą. Więc znowu pani przedzierzgnęła się w świętą Anastazyję i chciała chodzić po wodzie. A tu trzask ...i po kolana w wodę! Nie udał się cud.

— Wcale nie po kolana, tylko po kostki. I to jedną nogą, a nie obiema.

— Obiema. Zaraz zobaczą. O, widzi pani, że obiema!

U trzewika panny Gabryeli, tego właśnie, który niefortunnie nadeptał na zwierciadło, rozwiązała się tasiemka i wlokła się za nią po błocie. Panna Gabryela poczerwieniała i starała się nadaremnie ukryć nieszczesny trzewik pod krótką spodniczką.

— Przypomina sobie pani tę historię, którą nam wuj pani opowiadał? Tę o trzewikach królowej Saby?...

— Pamiętam doskonale — przytaknęła panna Gabryela. Jeden trzewiczek był biały i miał na sobie wyryte słońce, to był dzień, a drugi czarny i miał na sobie wyryte księżyc i gwiazdy. To była noc. Cudowne trzewiczki... Jakbym ja chciała mieć takie!...

— A nie pamięta pani, czy tasiemki, któremi królowa Saba trzewiczki te przywiązywała sobie do nóg, były zawiązane, czy też rozwiązane i wlokły się za królową po błocie?

— Pan się znowu ze mnie śmieje!...

— Czyż mam razem z panią płakać i tęsknić za zbitym zwierciadłem i za trzewikami królowej Saby?

— Wcale nie płaczę i nie tęsknię za trzewiczkami!

— Naturalnie, że pani nie tęskni. Alboż pani wie, co to jest tęsknota?

— A wiem...

— Aha, ta za trzewiczkami królowej Saby, albo za białym piórem strusiem.

— Choćby za piórem strusiem... A pan to już całkiem nie wie jak ona wygląda!

— Wiem. Znam ją osobiście. A na dowód, że ją znam, opiszę pani, jak wygląda. Jest to młoda dziewczyna w bladzielonym brzożowym gaju — jasnowłosa, o białych, przymkniętych powiekach nad zielonawymi, przejrzystymi jak woda oczyma...

— To nie tęsknota. To wiosna.

— To najprawdziwsza tęsknota... Przecież ją znam. Jakiś subtelny, rozmarzony uśmiech błąka mu się dokoła ust, a oczy jego patrzą przez pannę Gabryelę, niby przez szklaną szybę, na kogoś, w jakiś kraj, którego panna Gabryela nie zna i do którego nie wolno jej wchodzić.

Ogarnia ją złość, jak ogień.

A już najpewniej, to jedna z pańien z miasta, w której się pan kochał i która pana nie chciała. Jakaś panna z wielkiego świata, hrabianka albo księżniczka.

— Jakaż pani niezwykle domyślna!...

— Moja tęsknota nie tak wygląda, jak panna złoto-włosa. Ona nie jest młodą dziewczyną w brzożowym gaju na wiosnę. Ona jest...

Panna Gabryela aż marszczy czoło i zaciska usta, by opowiedzieć Kurlakowskiemu jak to wygląda jej tęsknota.

— Ona jest, wie pan...

— Nic nie wiem, bo mi pani jeszcze nie powiedziała.

— Taka... taka, jak... — sili się bezowocnie panna Gabryela.

— Powiedz-że mi, powiedz, co mi masz powiedzieć, bo jak mi nie powiesz, to nie będę wiedzieć — przypiewuje jej Kurlakowski na nutę krakowiaka.

— Ona jest jak ten dzień listopadowy i jak te wierzby. Jeszcze starsza i brzydsza, niż te wierzby. Taka stara i brzydka jak ta baba, co tam w rowie pod trzecią z rzędu wierzwą siedzi. A może to naprawdę ona...

— Co za ona?! — zdumiewa się Kurlakowski.

— Ona, kuma-tęsknota.

C. d. n.

STANISŁAW DŁUGOSZ PODPORUCZNIK I BRYGADY.



Dnia 6. sierpnia b. r. zginął podczas ataku na wieś Samokłęski w Lubartowskim powiecie podporucznik I. bryg. Leg. Polskich, absolwent wydziału prawniczego U. J., Stanisław Długosz. Śmierć jego jest dla młodzieży polskiej jedną z najcięższych strat, jakie w tym krwawym roku poniosła.

Już od szkolnej ławy wprzął się on do pracy nad budowaniem wolnej Polski. Tajne organizacje niepodległościowe, najpierw uczniowskie, potem akademickie, wreszcie Narodowy Związek Robotniczy, widzą go w swoich szeregach, a zawsze zajmuje stanowisko wybitne, niejednokrotnie kierownicze. W zakładaniu podwalin pod rozwój Drużyn Strzeleckich bierze żywy udział. Obok pracy społecznej pociągał go i naukowy warsztat. Z zawodu prawnik, oddawał się przecież z zamiłowaniem historii, zwłaszcza 1863 r. Jako III tom wydawnictwa „Boje Polskie“ wychodzi jego monografia o Czachowskim.

Bardzo niewiele ludzi wiedziało, że był on nadto poetą. Utwór poniżej zamieszczony, napisany na kolanie natychmiast po dokonanym ataku, nie daje wcale miary jego talentu. Jeżeli mimo to, z poetyckiej spuścizny zmarłego*) ten właśnie utwór przeznaczamy do druku, to właśnie dla tej jego bezpośredniości i dlatego, że, jak mało który inny, odsłania najpiękniejsze strony duszy poległego:

* Zachód słońca — słycać strzał po strzale.
„Atakować masz na Swojków dwór“!
Marsz pod górę — tyralierki sznur,
A przed nami, we dworze, Moskale.

Ktoś się zwałił na ziemię. — To trudno.
Na roztkliwiań godzinę nie czas.
W zbożu młodem jeden bagnet zgasił.
Kto śmie litość rozwódzić obłudną?

Kto zna jego przeogromną radość,
Którą niósł ze sobą do ostatka?
Niech zapłaczę nad nim tylko matka,
Bo lamentów zdawna w Polsce zadość.

Na zagonach sandomierskich zbóż
Zabiałały rosyjskie okopy:
Kto to zboże będzie wiązał w snopy?
Broń się wrogu, albo oręż złóż!

Hurra! Naprzód! Jeszcze kroków dwieście;
Niech się w piersiach nie zagubi dech!
Za zerwaną słomę z polskich strzech,
Za dom każdy zapalony w mieście,

Za niedolę nieuprawnych pól
Idą chmury wybuchowych kul
Dookoła wieś za wsią się pali.
A przed nami... okopy Moskali.

Swojków, 16. V. 1915.



Ś. p. Stanisław Długosz.

Fot. z nat.

Śp. Długosz żołnierzem z zamiłowania nie był. Wojna współczesna, polegająca na masowym mordowaniu się, budziła w nim wstręt, szablon wojskowy nudził go i nużył. Nie ułatwiała mu, przeciwnie, raczej utrudniała wytrwanie w linii jego wykształcenie polityczne. Patrząc na ogromnie skomplikowany stan kwestyi polskiej w obecnej wojnie, pojmując zwłaszcza bardzo dobrze różnicę między wojskiem polskim z r. 1831. lub 1863., a Legionami polskimi, zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, że rezultat naszego ruchu zbrojnego nie będzie stał w prostym stosunku do przelanej ofiarnie krwi.

W stosunku do siebie nie miał skrupułów i obaw ani trochę. Ani na chwilę nie pomyślał o usunięciu się

*) Całkowity zbiór jego poezyi ukaże się po wojnie.

**) Prawa przedruku zastrzeżone.

z szeregów, co więcej, w grudniu u. r., przebywszy ciężką chorobę, różę, zaledwie podleczoney, ucieka ze szpitala, w którym, jak mówił, zamierał duchowo. Na pole chwały, które stało się dlań niestety polem śmierci, wolała go spalająca go wewnętrznie żądza czynu, wolała go przekonanie, że jego miejsce może być tylko w pierwszym szeregu; to też chętnie podejmował się najryzykowniejszych wypraw i przedsięwzięć. Poczucie rycerskiego honoru kazało mu czynić ponad prosty

żołnierski obowiązek. Nie będąc typem żołnierza, był natomiast w każdym calu rycerzem. Wszyscy, którzy go znali bliżej, odnosili wrażenie, że człowiek to trochę niewspółczesny. Istotnie, odpowiadał on duchowo raczej bohaterom z 63. roku, w którego dziejach się rozmiłował i które znał, jak mało kto.

Łączy go z nimi i tragizm przedwczesnej śmierci...

Br. H.



Pogrzeb bohatera.

Fot. z nat.

W. KRZYŻANOWSKA: ŚMIERĆ BOHATERA.

W SERCE UGODZONY PADŁ W PIERWSZYM SZEREGU,
KRWI CIEMNE KORALE ZABŁYSŁY NA ŚNIEGU,
GDY BÓJ WRZAŁ ZACIĘTY, NAGLE ŚMIERCIĄ ZŻĘTY,
OSUNĄŁ SIĘ MARTWY W ŚNIEG BIAŁY.

PRZEZ POŁA BOLESNE NIEŚLI TOWARZYSZE
MARTWEGO W OGROMNĄ, GŁUCHĄ MROKU CISZĘ,
A PIEŚNI WCIĄŻ GRAŁY, WOLNOŚCI HEJNAŁY,
WOLNOŚCI HYMN DAWNY, PRASTARY.

I KIEDY ON LEŻAŁ ZŁAMANY I KRWAWY,
POTĘŻNE TE PIEŚNI RZUCAŁY BLASK SŁAWY
NA MARTWE JUZ CZOŁO, NAD GROBEM WOKOŁO
CHYLILI PRZED NIM SZTANDARY.

POLSKIE ARCHIWUM WOJENNE.

Wązka, zaciszna uliczka śródmieścia wiedeńskiego, zamknięta gotycką sylwetą kościelnej absydy. Stary, pamiątkowy dom o szerokiej, sklepionej bramie. Wśród szeregu komitetów wychodźczych, jakie się w nim cisną, znalazło przytułek i Polskie Archiwum Wojenne. Strone, ciemne, kręte schodki kamienne wiodą na drugie piętro, gdzie w jednym pokoju mieszczą się dotychczasowe zbiory i pracuje Komitet Archiwum.

Pół roku temu, zeszło się we Wiedniu grono wychodźców z inicjatywy dra Władysława Semkowicza i rozpoczęło organizować instytucję, pracującą dziś z pomocą sieci Komitetów miejscowych we wszystkich większych centrach w kraju i zagranicą nad stworzeniem polskiego muzeum wojennego, zbioru dokumentów, okazów, źródeł autentycznych i wiarygodnych dla przyszłego historyka, polityka i artysty, który się zechce z chwilą obecną zapoznać, zrozumieć i ocenić jej znaczenie dla naszego narodu. Dokumenty te i pamiątki powinny mu dać wierny obraz udziału Polaków w obecnej wojnie, powinien się w nich odbić stan

sprawy naszej w Europie czasu wojny i skutki, jakie zawierucha wojenna wywarła na społeczeństwie i na ziemi naszej.

Zadanie to, ściśle naukowe i ogólnie narodowe, a wolne od wszelkiego zabarwienia partyjno-politycznego, starają się spełniać ekspozytury i delegatury Archiwum w kraju i zagranicą, zostające w łączności z Komitetem głównym. O łączność stałą ze wszystkimi w dzisiejszych czasach nie łatwo, toteż niektóre filie pracują na razie niezależnie od głównej instytucji.

Po nastaniu stosunków pokojowych, zbiory złożone zostaną w naszej przyszłej, oby nie tylko duchowej, stolicy i tam też osiadzie jej zarząd. Tam będzie można rozpocząć opracowywanie nagromadzonego materiału, który się dziś tylko porządkuje, zaciąga do katalogów, numeruje i dba o jego całość i bezpieczeństwo.

W lokalu Archiwum ruszyć się trudno. Woń czernidła drukarskiego zalatuje już w sieniach: stopy gazet swoich i obcych leżą w szafach i na szafach, powiązane sznurkami, podzielone w grupy. Archiwum otrzy-

muje około ośmdziesiąt pism polskich z tej strony frontu wojennego, a prócz tego, szereg dzienników niemieckich, czeskich, ruskich i słoweńskich.

Dzięki osobnemu abonamentowi, otrzymuje Archiwum od jednego z biur wycinki z gazet obcych, dotyczące w jakimkolwiek sposobie sprawy polskiej.

Interesującą ilustracją stosunków panujących na ziemi naszej podczas wojny, stanowi rosnący ciągle dział pism i druków ulotnych, odezów, afiszów i ogłoszeń, zdjętych z murów miast naszych, lub rozrzuconych tu i ówdzie w poszczególnych okresach wojny. W gromadzeniu tego rodzaju materiałów, powinni pomagać Zarządowi Archiwum wszyscy, którym takie dokumenty chwili w ręce wpadną; w szczególności mają po temu sposobność panowie burmistrzowie, prezesi i marszałkowie rad powiatowych. Niedawno zachęcił ich do współdziałania w pracy Komitetu Archiwum, galicyjski Wydział Krajowy.

Gromadzeniem pamiętników z wojny obecnej zajmuje się Sekcja pamiętnikarska P. A. W. W tym dziale o materiały nie trudno; ludzie piszą chętnie; trudniej o materiały cenne i wiarogodne. Żeby uniknąć zalewu, a piszących uchronić od straty czasu i pracy, wydała Sekcja pamiętnikarska instrukcję dla piszących pamiętniki i wspomnienia. Instrukcję tę rozesłał zarząd do wszystkich miejscowości, w których ogniskuje się ruch legionistów, celem rozpowszechnienia jej pośród inteligentnych żywiołów naszej armii.

Sekcja oświatowa P. A. W. rozpisala wśród młodzieży szkół średnich i wyższych ankietę, która ma w żywych odpowiedziach ująć wpływ wypadków wojennych na stan materialny i rozwój duchowy piszących.

Szereg komitetów wychodźczych, zamykając swe

czynności, oddaje protokoły posiedzeń, korespondencje, odezwy i t. p. na skład do P. A. W. skąd rośnie obraz naszego życia kulturalnego i ekonomicznego na wychodźstwie. Powoli wzrasta dział biblioteczny i dział muzealny. Na książki potrzeba pieniędzy, a okazji nawet i kupić nie można, tylko trzeba czekać sposobności i dobrej woli kogoś, kto darem odpowiednim rozporządza a nie zamierza tworzyć na jego podstawie własnego archiwum czy muzeum, kto, prócz tego, może, w dzisiejszych warunkach, okaz odpowiedni przesłać. Byłoby rzeczą bardzo dla rozwoju archiwum pożyteczną, gdyby w zwyczaj u nas weszło i stało się rzeczą naturalną, odsyłanie przeczytanej literatury wojennej, zbędnych odznak, fotografii, widokówek, bonów wojennych, wogóle wszelkich pamiątek na skład do Archiwum. Bardzo wiele pamiątek naszych poszło już na marne, skutkiem braku poczucia zbiorowego i braku skłonności do organizowania się, do karności na tem polu. Wnuki niejednego kask pozostały po dziadku w domach naszych zniszczyły dla zabawki i dla świętego spokoju matek.

Komitet Archiwum czerpie fundusze z wkładek członków, z darów okolicznościowych i subwencji. Rada miasta Lwowa ofiarowała bowiem na cele Archiwum 300 kor., Galicyjski Bank Hipoteczny 100 kor., Towarzystwo ubezpieczeń urzędników prywatnych we Lwowie 50 kor. Naczelny Komitet Narodowy 200 kor., a Towarzystwo dla popierania nauki polskiej 500 kor.

Wszystkich, którzyby darem, depozytem lub datkiem przyczynić się zamierzali do wzbogacenia zbiorów Polskiego Archiwum Wojennego, interesować będzie adres jego. Komitet P. A. W. przyjmuje obecnie wszystkie listy i przesyłki pod adresem: Wien I., Steindelgasse 6. II.

Dr Władysław Witwicki.



Z. Rozwadowski: „Przednia straż”.

Z wystawy sztuki polskiej w Badenie.

WYSTAWA SZTUKI POLSKIEJ W BADENIE.

Grono artystów, bawiących na tułaczce w Wiedniu, urządziło trzecią już wystawę ewakuowanej z normalnych warunków życia sztuki, tym razem w Badenie, w sali Polskiego Komitetu Opiekuńczego przy Erzhertzog Rainer Ring.

Wystawa niezupełnie dopisała, niektórzy bowiem zapowiadanych prac nie nadestali, ale to, co jest, wystarczy na reprezentację tego, co być mogło.

Więc przede wszystkim Zygmunt Rozwadowski, jeden z pierwszych dziś batalistów. Jego „Przednia straż”, to jakby na gorącym uczynku schwytyany moment, kiedy pięciu ułanów Beliny zjeżdża z pochyłości górskiej w cichy, zimowy poranek. Grupa jeźdźców i koni świadczy, że artysta obraz swój nie tylko widział, może nieraz, w naturze, ale i wierny pozostał wrażeniu; zato fioletowo szary ton śniegu i refleksy wschodzącego słońca, nadają obrazowi koloryt baśni — o rycerzach, zstępujących ku dolinom na krwawy obrachunek z najjeźdźcą.

Józef Ryszkiewicz wystawił szereg obrazków, których

treścią sceny z życia legionistów. Temat nie przemienił jednak pejzażysty w batalistę, to też nastrój i pejzaż dominują w tych obrazkach. Pejzażystą jest również Roman Bratkowski, znany dobrze z wystaw w kraju. Jego dworek w otoczeniu kwitnących sadów, czy ścieżka wysadzona melancholijnymi brzoškami, prowadząca przez szare, śniegiem przyprószone pole ku majaczącym w oddali chatom, to sympatyczne wspomnienie polskiej wsi, czekającej dziś na odbudowę.

Stefan Bukowski daje kilka martwych natur i studyum rysunkowe p. t. „Matka”. Z wielu prac kobiecych wyróżniają się dwa studia główek dziewczęcych p. Kamili Bukowskiej.

Interesujące prace wystawili Gall, Sonnewend i Mieczysław Trzeński.

Z dawniej znanych, są trzy rzeczy Brandta, Stachewicza cykl ilustracyjny do „Quo vadis” i obraz Akcentowicza, zatytułowany „Oberek”. Rzeźbę reprezentują: Hochman, Popławski i Chodziński (biust i plakieta Piłsudskiego).

P. R.

TEATR POLSKIE PODCZAS WOJNY.

III.

Trzecią sceną polską po Warszawie i Krakowie, prosperującą nieprzerwanie podczas wojny, jest scena teatru Zjednoczonych artystów w Zakopanem.

Teatr ten zorganizował p. Dante Baranowski, b. dyr. teatru art., a od lat dwóch kierownik lit. i artysta sceny poznańskiej, jeszcze 15 października 1914 r. i dotychczas, pomimo tak ciężkich warunków, prowadzi nieprzerwanie dalej. Teatr ten dał nie tylko wszystkim aktorom, zmuszonym szukać schronienia w Zakopanem, możność egzystencji, ale nadto dawał gościnę wielu muzykom i śpiewakom.

Wiele z naszych znakomych sił artystycznych przesunęło się przez deski teatru Zjedn. art. — Imiona Solskiej, Siemaszkowej, Zimajer Rapackiej, Michnowskiej, Frenkla i Chmielińskiego, świadczą najlepiej o doborze sił wykonawczych repertuaru, jak i o wzorowym prowadzeniu podhalańskiej sceny (nawiasem powiedziawszy, pierwszego stałego teatru w Zakopanem).

Repertuar teatru jest przeważnie polski, także klasyczny, choć większe kasowe powodzenie dają sztuki lżejsze. Wszystkie obchody narodowe w Zakopanem upamiętnia dyr. Baranowski sztuką, zastosowaną do

uroczystości. Dotąd było (prócz koncertów pp. Łowczyńskiej, Łowczyńskiego, Langer, Szwarzensteina, Wilkowskiego, Malinowskiej i i.) 98 przedstawień, z tego 65 premier, ośm wieczorów wesołych i sześć obchodów narodowych. Grano „Gwiazdę Syberyi” Starzeńskiego, „To samo” Staffa, „Złote Runo” Przybyszewskiego, „Moralność Pani Dulskiej”, „Car jedzie”, „Ich czworo” i „Zabusię” Zapolskiej, „Romantycznych” Rostanda, „Śluby Panięskie” Fredry, „Pannę męzatkę” Korzeniowskiego i t. d.

Jakkolwiek dyr. Baranowski w niezwykle trudnych warunkach (bez żadnych subwencji!! dość podkreślić wymienioną wyżej liczbę premier) przyznać trzeba, że nigdy nie zbacza z wysoko zakreślonego poziomu artystycznego, że zasila scenę ciekawymi nowościami repertuarowymi, że kształci liczny zastęp sił, które niewątpliwie w niedalekiej przyszłości poważniejsze zajmą stanowiska na scenach pierwszych. Z młodego pokolenia pracowników sceny, rozwijających się pod okiem dyrektora Baranowskiego, oprócz niego samego, przewybornego w ogromnej skali talentu, — wymienić trzeba przede wszystkim Miłską, Bienina, Helleńskiego i Starskiego.

Eugenia Dusiatyn Rudomino.

